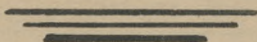


CO SLYCHAC



Nr 22

10.IX.1943.

6d.

1. ROCZNICA WESTERPLATTE.....	str. 3.
2. LATAJĄCE FORTECE.....	6.
3. 1-3 WRZESNIA 1939.....	9.
4. ARTYZM MIŁOSNYCH LISTÓW.....	11.
5. MALTA - WALECZNA WYSPA.....	14.
6. PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA.....	18.
7. UCIECZKA GEN. GIRAUD.....	23.

OKŁADKA: Dzieci maltańskie, udające się po-
przez ruiny do szkoły.

Ukazał się Nr. 35 "Poradnika Dla Pracowników Świet-
lic Żołnierskich", wydawnictwa Polskiej YMCA w
Wielkiej Brytanii.

Na treść numeru składają się: wspomnienia poświę-
cone Generałowi Władysławowi Sikorskiemu i Zofii
Leśniowskiej, artykuły omawiające metodykę pracy
świetlicowej, /B.Ch., L.B., K. Michałskiego, J. Świę-
cickiej, E. Federowicza, J. Wojciechowskiej/, a wre-
szcie piosenki kompozytorów-żołnierzy, M. Formano-
wicza, C.R. Hałskiego, W. Gruszki, W. Mireckiego.

Całość uzupełniają liczne fotografie i ilustracje



Czy to nie fajna zabawa to budowanie nowego
lepszego świata? -

Rocznica Westerplatte. ^{x/}

Westerplatte jest to wąski cypel około 1200 m. długi, 400-600 m. szeroki, jaki tworzy przekopany pod ostrym kątem kanał, łączący t. zw. Martwą Wisłę z morzem. Tu na tym płaskim, piaszczystym skrawku, ogółem na powierzchni około 20 ha, porośłych starym lasem, znajdowały się składy amunicyjne - kilkanaście baraków. Korzystano z nich w pierwszych latach niepodległości, kiedy Polska nie produkowała jeszcze amunicji. W ostatnich latach służyły one dla różnego rodzaju materiału dla potrzeb wojska. Ze względu na zawsze niewyraźną sytuację w Gdańsku znajdował się tu oddział wartowniczy w sile kompanii. Ponieważ należało się liczyć, że przy jakimś puczu w Wolnym Mieście, Westerplatte może być napadnięte, istniejące wartownie w 1936-7 jak i połowę budynku koszarowego wzmocniono betonem. Zabezpieczenie to dawało osłonę od pocisków karabinowych, z biedą już od artylerii lekkiej, lecz w żadnym razie nie mogło uchronić przed ogniem ciężkich dział.

Uzbrojenie załogi składało się z działka 75 mm., 2 działek przeciwpancernych 37 mm. i 16 ciężkich karabinów maszynowych. Wobec niepewnej sytuacji ostatnia zmiana załogi została zatrzymana, była więc ona podwojona i liczyła na jesieni 5 oficerów i 175 szeregowych. Poza tym pracujący w składach robotnicy, 22 ogółem, nie chcieli odejść przed oblężeniem i wzięli udział w walce.

Od strony 200 m. szerokiego przesmyku łączącego z lądem, jak i od strony ponad 100 m. szerokiego kanału Martwej Wisły, znajdował się ceglany mur, a na skrajach cypla kilka osuwających się nasypów jeszcze z przeszłej wojny. Poza tym nasypy ochronne znajdowały się wokoło magazynów amunicyjnych. W lesie przerabano przesieki, tak aby można strzelać wzdłuż nich i zamykać ogniem dostęp ze strony najgroźniejszej, skąd mógł nastąpić atak tj. od strony połączenia z lądem.

Widok i pole ostrzału z gniazd karabinów ma-

wadzony dzień po dniu, zmiotł wreszcie z powierzchni wszystko co na niej było. Ocalenie swe i możliwość trwania załoga zawdzięczała temu, że artyleria morska na pancerniku ma tor płaski, wobec czego jej pociski nie mogły osiągnąć siedzących nawet w słabych schronach. Dokonywała tego artyleria bijąca z lądu i nurkowce. Już w pierwszym dniu została rozbita wartownia nr. 5, w czwartym skład żywności, wcześniej jeszcze radiostacja nadawcza.

Natarcia z lądu nie dawały rezultatu w wąskiej "szyi" łączącej cypel z lądem, z której już po pierwszym dniu obrońcy musieli się wycofać. Ostrożni Niemcy, obawiając się wypadu załogi, osłaniali się rogatkami z drutu kolczastego, posuwanyimi przez gdańskie oddziały Arbeitdienstu.

W noc z 6 na 7 nieprzyjaciel wtoczył do lasu po torze kolejowym cysternę z benzyną i podpalił ją. Na poży zwęglone pnie i rozlana benzyna płonąły, zasnuwając dymem półwysep i okolice. Wielka ciemna chmura jeszcze za dnia unosiła się nad składami. O świcie Schleswig-Holstein podszedł znów na kanał i z odległości "300 m." bijąc trzy godziny z dział wyczyścił cypel do reszty. Rozbita została wartownia nr. 2.

Batalion pionierów marynarki, oddział desantowy z pancernika i szturmówki gdańskie dotarły do porozbijanego muru i wtargnęły do wnętrza, lecz stąd raz jeszcze zostali odrzuceni.

Był to trzynasty szturm z kolei. Duża część załogi zginęła. Nie było możliwości opatrzyć licznych rannych. Amunicja była na wyczerpaniu. W kotle zasypywanym granatami pozostało zdolnych do walki 60 żołnierzy, ogłuszonych przez ostatnie potężne bombardowanie. W tej sytuacji 7-go o godz. 10.53 Westerplatte pada. Wśród porozbijanych murów, w polu lejów, Niemcy znaleźli "167 żołnierzy" już nie wiele rozumiejących.

W uznaniu męstwa "walecznej załogi Westerplatte" dowódca 3 armii polecił zostawić oficerom i żołnierzom broń boczną.

/ Roman Umiastowski - "Bitwa Polska"

szynowych, umieszczonych w dołach wartowni był niedaleki - nasypy nadbrzeżne i las na to nie pozwalały. Oblężeni mogli dostrzec napastników w odległości 100-50 m., co nie pozwalało na całkowite wykorzystanie donośności broni. Dlatego też pierwsza linia obrony była przed skałami w lesie.

1 września o 4.45 pancernik niemiecki Schleswig-Holstein, który przed kilku dniami przybył z wizytą do Gdańska, zbliżywszy się kanałem na odległość kilkuset metrów do Westerplatte, oddał dwa strzały z ciężkich dział, co było sygnałem dla huraganu ognia, który runął na składy. Po przygotowaniu przez artylerię ruszyły do szturmów kompanie marynarskie, lecz utknęły w odległości 100 m. przed pozycją obroną pod strzałami broni maszynowej i "strzelców usadowionych na drzewach". Na wezwanie do podania się dowódca założył, major Sucharski, odpowiedział odmownie. Nie sądząc, aby dalsze natarcia miały większe powodzenie niż pierwsze, Niemcy postanowili zgniebić obrońców artylerią. Z lądu strzelało kilka baterii 150 mm. i kilkanaście moździerzy. Z morza potężna artyleria pancernika - 4 działa 280 mm., 10 - 150 mm. i 4 - 88 mm. Oprócz kilkudziesięciu tych armat, które od tej pory trzymały niemal całymi dniami, wyłączając godziny posiłków, Westerplatte pod ogniem, od popołudnia poczęło nad nimi pracować lotnictwo nurkujące. O godz. 17-tej 50 samolotów rzuciło pociski zapalające i około 50 ton kruszących do 500 klg. bomb włącznie. Las stanął w płomieniach.

Prowadzenie ognia ze strony nieprzyjaciela ułatwiał fakt, że poza kanałem w Nowym Porcie wznoszą się kilkupiętrowe magazyny, z których mógł on obserwować jego skutki i na których umieścił kilkanaście karabinów maszynowych, sięgających po pozycję Polaków.

Już po pierwszym dniu bombardowania drzewa, rosnące na Westerplatte, zostały potrzaskane i nie zasłaniały widoku. Ogień z pancernika, pro-

Latające Fortece



Generał Ira C. Eaker.

Amerykańskie Latające Fortece przyczyniły państwu Osi wiele szkód. 17 sierpnia minął dopiero rok, jak rozpoczęły one swą działalność na europejskim teatrze wojny.

Hilary St. George Saunders, autor książki "THE BATTLE OF BRITAIN" i innych ogłosił ciekawy artykuł na powyższy temat w jednym z ostatnich numerów "Sunday Graphic". Artykuł ten może zainteresować nie tylko fachowców lotniczych, ale również i zwykłego Czytelnika. Daje on bowiem obraz nasilenia akcji powietrznej przeciwko ważnym strategicznym punktom okupowanej Europy.

Dopiero w lipcu 1942 roku pierwsze kompletne skrzydło Latających Fortec było gotowe gdzieś na lotnisku w Anglii, a pierwszy nalot dzienny, przez nie przeprowadzony, miał miejsce 17 sierpnia roku ubiegłego.

Tego słonecznego letniego dnia, dwanaście wielkich maszyn poleciało do Rouen. Było wiadomym, iż tamtejsze doki bronione są przez silne eskadry myśliwców.

Fortece bombardowały z wysokości 8000 metrów i celowanie było tak znakomite, że cel zniesiony został po prostu z powierzchni ziemi. Wszystkie dwanaście Fortec postrzelane były jak sito lecz szczęśliwie powróciły do bazy.

Od tego historycznego dnia Latające Fortece i ich siostrzane samoloty Liberatory zbombardo-

waży w dziennych nalotach w ciągu roku 120 celów, z czego 83 w okupowanej Francji, 36 w Niemczech i 17 w Belgii, Holandii i Norwegii.

Rozumie się, nie rozpoczęły one swej pracy od razu na wielką skalę; specjaliści nie mogli się zdecydować jakoś na wysyłanie bombowców w czasie dnia. Dopiero w grudniu 1942 roku nastąpił punkt zwrotny. Do tego czasu ilość nadchodzących z Ameryki maszyn była tak nikła, że nie można było przedsięwziąć żadnych wypraw w wielkim stylu.

Sprawę wziął w ręce gen. Ira C. Eaker. Na konferencji w Casablance w lutym 1943 r. potrafił on przekonać prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla, że Fortece mogą atakować za dnia nawet bardzo daleko położone obiekty.

Pozwolono mu więc zrobić próbę ponownie. Raid na Vegesack, wykonany 18 marca, dowiódł jakie rezultaty można osiągnąć za pomocą Fortec, bombardujących przy świetle dziennym.

Prawie wszystkie łodzie podwodne, budowane w tamtejszych dokach, zostały zniszczone, a w walce powietrznej strącono 52 nieprzyjacielskie myśliwce.

W tym miejscu trzeba powiedzieć słów parę na temat strat nieprzyjaciela. Kiedy ukazały się pierwsze komunikaty o ilości myśliwców strąconych przez Fortece w walce powietrznej, wszyscy odnieśli się do nich z wielkim niedowierzaniem.

Ludzie nie mogli jakoś uwierzyć, że tak wielka ilość szybkich samolotów mogła być zestrzelona przy stosunkowo małych stratach Fortec. Zapomniano jednak, że Fortece uzbrojone są w jedenaście, a teraz nawet trzynaście, karabinów maszynowych, kalibru pół cala /ok. 13 mm./. Karabiny te działają skutecznie z odległości paruset metrów. Poza tym formacje Fortec prowadzą walkę w takim szyku, że wspólnie potrafią stworzyć potężną zaporę ogniową przeciwko atakującym je myśliwcom.

Obecnie nikt w R. A. F. i w armii amerykańskiej nie kwestionuje podawanych przez lotników cyfr.

Przed czterema dniami Latające Fortece do-

leciały prawie do granicy czeskiej i zniszczyły w Bawarii jakieś potężne zakłady fabryczne.

W jaki sposób wykonują one swoje operacyjne zadania?

Metoda ich pracy nie wiele się różni od metod w "Bombard Command". Autor artykułu specjalnie udał się na jedno z amerykańskich lotnisk, znajdujących się gdzieś we wschodniej Anglii.

Załogi gotowe były przed świtem i samoloty wystartowały w momencie, gdy zaczynało się już rozwidniać. Przeszło parę godzin. Powrót Fortec obliczano mniej więcej na godzinę 11-stą. Punktualnie o tej porze dał się słyszeć szum pierwszych motorów, a w pięć minut potem potężna formacja w doskonałym szyku zjawiała się na tle nieba i zatoczyła łuk nad lotniskiem.

W parę minut po lądowaniu znaleźliśmy się w pokoju, w którym piloci składają raporty z lotu. Byłem pierwszym cywilem, który przestąpił w tej wojnie jego próg.

Na ścianie wielkimi literami wypisana jest sentencja: "Moja prośba do Boga - O, Panie, pomóż mi trzymać język za zębami".

Piloci trzymają się ściśle tej zasady wszędzie z wyjątkiem właśnie tej izby, w której mogą dać upust swej wymowności i elokwencji w opowiadaniach historii z przeżytych wrażeń. Oficer wywiadowczy jest poniekąd ich spowiednikiem. Niczego nie należy przed nim ukrywać. Oficerów wywiadowczych pracuje czterech jednocześnie. Otaczający ich młodzi ludzie opowiadają im bez powściągliwości i bez obłudy wszystko, co widzieli i odczuwali w czasie odbytego lotu.

Wyszedłem stamtąd głęboko przeświadczony, że praca tych chłopców nie jest ani łatwą, ani bezpieczną. Spotkania z nieprzyjacielskimi pościgowcami są bardzo ciężkie, albowiem doświadczeni piloci niemieccy używają najrozmaitszych nieprzewidzianych i przykrych sposobów, ażeby dopaść Fortece i zniszczyć je bez szwanku dla siebie.

Minął akurat rok z górą, jak Fortece wykonały

pierwsze swe zadanie. Ogółem w tym czasie przeprowadzono 82 naloty. Zrzucano 15,722 tony bomb na nieprzyjacielskie cele. Strącono 1728 samolotów napewno. Własne straty wyniosły 419 latających Fortec.

Cyfry powyższe stanowią nielada wyczyn, jeżeli wziąć pod uwagę, iż cała praca wykonana została za dnia. A to jest dopiero początek. Czym dalej, tym większe formacje tych ciężkich bombowców wejdą do walki aż do ostatecznego zwycięstwa.

1-3 Września 1939 r.

Wrzesień 1939 r. Wiekopomny dla Polski i świata całego miesiąc. Tragiczny wstęp dla całej ludzkości, zmuszonej przejść przez czyszciec wojenny z powodu błędów popełnionych przedtem. Szczególnie tragiczny dla narodów starego kontynentu, może nauczyć wreszcie ludzi, co i jak należy czynić w przyszłości, ażeby znowu nie zaznać tego, co w ciągu ostatnich lat czterech świat przeszedł.

Aczkolwiek dużo czasu ubiegło od chwili rozpoczęcia wojny, zawsze jednak na czasie jest przeczytać, jak się przedstawiało wejście Sojuszników Polski do wojny. Przytaczamy poniżej zebrane w książce pułk. Umiastowskiego p. t. "Bitwa Polska" fragmenty historyczne z pierwszych dni września. Rzucają one dużo światła na przebieg ówczesnych wypadków europejskich.

-1 września Niemcy rzucają się na Polskę. Paryż ogląda się na Wielką Brytanię. Rząd Chamberlaina, który udzielił Polsce "fantastycznie nierealnej gwarancji", jak później usłyszy od opozycji w Izbie Gmin, kiedy przychodzi do jej wypełnienia i kiedy widzi dysproporcję między gotowymi do walki siłami przeciwnika i Koalicji w której się znajduje, ten rząd w poczuciu swej bezsilny zwleka nadal.

Mija dzień, dwa i komisarz spraw zagranicznych w Moskwie, Mołotow, mówi szydlerczo do ambasadora polskiego: "Wielka Brytania i Francja

nie wystąpią". Jest pod wrażeniem rozmów z latami z delegatami tych państw, którzy przyjechali do stolicy Rosji szukać tam siły i oparcia. Późniejsze wiadomości, jak wynika, tego poglądu nie zmieniły.

Dalsze wahania rządu Wielkiej Brytanii spontanicznie rozstrzyga naród brytyjski. Działa na niego determinacja z jaką Polska idzie do walki. Ona jedna w zespole Koalicji nie zna wahań i nie ma wątpliwości. Parlament brytyjski nie chce więc już dalej rozważać, powtarza w zniecierpliwieniu słowo "honor" i ustami sir Archibalda Sinclaira stwierdza: "Parlament brytyjski nie będzie tolerował zwłoki w wykonaniu naszych honorowych zobowiązań wobec Polski".

Jest to ultimatum dla rządu Chamberlaina.

Chamberlain wytargował u parlamentu jeszcze kilkanaście godzin, lecz następnego dnia nie odważa się stanąć przed nim bez zasadniczej decyzji. Parlament zbiera się o 10-tej, więc o godzinie 9-tej lord Henderson wręcza w Berlinie ultimatum. Wygasa ono o 11-tej.

Tak więc 3-go po nieudanych dyplomatycznych wysiłkach, powstrzymania Niemców w ich najeździe i utracie wszelkich nadziei, rząd brytyjski wypowiedział III Rzeszy wojnę.

W parlamencie poseł Arthur Greenwood mówi.

"W imieniu całej Izby Gmin i całego narodu brytyjskiego oddaję cześć wielkiemu umiarkowanemu okazanemu przez Polskę w ostatnich tygodniach. Ostatnie 54 godzin dowiodły, że ta wstrzemięźliwość nie była spowodowana obawą, lecz niezłomnym przekonaniem o słuszności swojej sprawy. 54 godzin Polska stała samotna u wrót cywilizacji, broniąc nas i wszystkie wolne narody i to wszystko co reprezentujemy i uważamy za rzecz cenną. Z bezprzykładnym męstwem, z epicznym heroizmem stała przed swymi przyjaciółmi, wahającymi się czy iść jej z pomocą! Witamy ją, jako towarzysza którego nie odstąpimy. Mówimy do niej. "Serca nasze są z tobą i wraz z nimi cała nasza siła, dopóki anioł poko-

Dok. na str. 13-ej.

Artyzm miłosnych listów.

Wiele kobiet posiada paczki listów, związanych wstążeczkami i leżących w zapomnieniu gdzieś na dnie szuflady. Listy te zbierane są długo przed czasem, zanim dziewczyna poślubia tego, który je wysyłał. Często ukochany żeni się z kimś innym lub znika z życia swej bogdanki bezpowrotnie. Ale listy pozostają, a w nich palące słowa i myśli, pobudzające uczucia czytającego i odświeżające na nowo dawne wspomnienia.

Jedna z popularnych artystek chwaliła się, iż posiadała wielką ilość wielbicieli. Jeden z jej pokojów zaasypany był miłosnymi listami od panów, których nawet osobiście nie znała. Gdy się czuła źle, odczytywała parę z tych listów, a zawarte w nich wyznania wnet przeganiały złe humory.

To co posiadamy w sobie najlepszego i najpiękniejszego, miłość potrafi wydzwignąć na zewnątrz. Może dlatego właśnie listy miłosne posiadają w sobie tyle czaru. Z pomocą Kupida najbardziej nieśmiali ludzie stają się elokwentni i nawet analfabeci potrafią wyrażać się pięknym, zachwycającym stylem. Często najpiękniejszą frazeologię i niecodzienne myśli znaleźć można w listach dwojga zakochanych.

Czasem jednak listy miłosne mogą być przyczyną wielu kłopotów. Listy te przeznaczone są li tylko dla osoby, do której są pisane. Niczyje oczy nie powinny ich oglądać. Pewien pan musiał aż udać się pod opiekę sądu, gdyż jego pierwsza narzeczona co jakiś czas przysyłała żonie otrzymane w swoim czasie miłosne listy. Pierwszy list przesłała w dniu ślubu. Następne w każdą rocznicę. A każdy z tych listów tchnął miłosnym żarem w stosunku do pierwszej narzeczonej.

Niektóre listy są bardzo długie. Możemy znaleźć w nich wszystko: smutek, żal, zawód i żzy, szczęście i miłość. Uczucia i myśli, zawarte w nich obnażają zda się absolutnie i szczerze duszę i serce piszącego. Można sobie wyobrazić przerażenie autora, gdyby się dowiedział, że

listy jego są czytane jeszcze przez innych ludzi.

Pewna młoda niewiasta związała małe kółko, złożone z paru przyjaciółek, które zobowiązały się odczytywać na wspólnych zebraniach listy, otrzymywane przez każdą z nich od swego ukochanego. Spotykały się raz na miesiąc i spędzały razem cudowny wieczór. Niestety, wkrótce zazdrość rywalek doprowadziła do tego, że na jednym z tych zebrań o mały nie doszło do ogólnej walki. Skończyło się na spazmach, ale również i zakończyły się te swego rodzaju erotyczne wieczorki.

Inne miłosne listy są bardzo krótkie, ale nie można wątpić w ich szczerość. Być może autor ich nie potrafił pisać wiele, lub nieśmiałość nie pozwoliła mu na to. Jest on bezradny w swej miłości, ale nie może jej ukryć.

Niektórzy ludzie uważają iż pisanie miłosnych listów, to wariactwo. Ale ci ludzie chyba nie kochali nigdy.

Listy Napoleona pisane do Józefiny i pani Walewskiej, przechowały się do dnia dzisiejszego. Rozumie się, iż są to cenne dokumenty historyczne, z których dowiedziano się wielu sekretów, dotyczących ich autora.

Pisząc do Józefiny w 1805 roku Napoleon wyjawiał szczerze swą tęsknotę spowodowaną długim rozstaniem. List ten jest swego rodzaju spowiedzią i wyjawieniem prawdziwych uczuć: "Nie mogę spać. Nie mogę jeść. Nie dbam absolutnie o swych przyjaciół. Płonę ku Tobie bezgraniczną miłością." I chociaż cesarz wyjawiał później jeszcze nie jednej z kobiet swe uczucia, miłość do Józefiny trwała do końca jego życia.

Inny list miłosny Napoleona, pisany do 18-to letniej pani Walewskiej, aczkolwiek bardzo krótki, odzwierciedlił znakomicie uczucie, jakie ona w cesarzu wzbudziła. Po balu, na którym z nim tańczyła, otrzymała krótki bilecik: "Wiedziałem tylko ciebie. Admirowałem tylko ciebie. Pragnę tylko ciebie. Oczekuję. Spieszna odpo-

wiedź może uspokoić piekący mnie żar. N."

Listy te pisane były jednak w innym stuleciu. Dzisiejsza panna /w/g. Irish Digest/ gdyby otrzymała tego rodzaju list, uważałaby autora za niespełna rozumu. Obecna generacja kocha się mniej romantycznie. Młodzież spotyka się na dancinгах i przyjęciach, a schadзки ułatwiane są przez telefon. Zamiast listów miłosnych urządza się wycieczki na rowerach. Miłość jest w dalszym ciągu wyznawana, ale w mniej romantycznej formie.

Mało się pisze i przypuszczalnie już wkrótce "młoda miss" nie będzie mogła pochwalić się jakimkolwiek miłosnym listem.

Dokończenie ze str. 10.

ju nie wróci do nas".

Tak naród brytyjski wiedziony poczuciem honoru zmusza swój rząd do powiedzenia słowa "wojna". Raz jeszcze Wielka Brytania występuje do walki nieprzygotowana. Tym razem nieprzygotowanie jest nawet większe niż z osławionej z tego powodu kampanii Krymskiej 1854. Wtedy również społeczeństwo zmusiło rząd do wypowiedzenia wojny, lecz położenie było dla państwa znacznie korzystniejsze. W tej chwili jednak nikt na świecie nie zdaje sobie sprawy z istotnej grozy niebezpieczeństwa dla wysp brytyjskich, nikt do Niemców włącznie nie rozumie ciężaru gatunkowego ich potęgi zbrojnej. Ogół w Anglii widzi rozpoczynaną wojnę podobną do poprzedniej i wierzy, że walka Polski i Francji da dostateczny czas dla rozwinięcia się Imperium Brytyjskiego.

Aby zaprotestować przeciwko nieporządkom społecznym różne narody różnie na to reagują:

Francuz wywołuje rozruchy. Rosjanin robi sabotaż Amerykanin głosuje na demokratycznego kandydata, a Anglik ...pisze list do "Times'a".

/Fortune/

Pijany Francuz czy Szkot - kocha się. Anglik zabiera się do bitki. Niemiec śpiewa. Ale Amerykanin - wygłasza mowę.

Malta — Waleczna Wyspa.

W historii tej wojny, a szczególnie wojny w basenie morza Śródziemnego, Malta odegrała niezwykle doniosłą rolę. Samotna, skalista wyspa była przez długi szereg miesięcy jedynym pomostem, łączącym W. Brytanię i Gibraltar z Bliskim Wschodem. Oddała ona wielkie usługi Sprzymierzonym przy zdobyciu Libii, Cyrenaiki i północnej Afryki, a ostatnio stała się bazą wypadową dla zdobycia Sycylii. Nic więc dziwnego, że Niemcy i Włosi starali się za wszelką cenę opanować ten bastion dumnego Albionu. Wysiłki ich jednak były daremne. Malta odparła zwycięsko wszystkie ataki, a miarą wysiłku wojennego wyspy jest odznaczenie jej Krzyżem Jerzego, cywilnym odpowiednikiem Krzyża Victorii.

Znany dziennikarz angielski, Ian Hay, snuje taką opowieść o bohaterskiej wyspie i jej mieszkańcach, na łamach "Sunday Graphic".

Lotnictwo niemieckie i włoskie starało się od początku wojny złamać opór obrońców Malty przy pomocy ataków z powietrza. Gdy mimo wszystko wysiłki te stawały się bezowocne, postanowiono wyspę wygłodzić. Nie wszyscy zapewne zdawaliśmy sobie sprawę, jak nie wiele brakowało, aby się niemiecki plan całkowicie udał. Malta przetrzymała jednak i to, przede wszystkim dzięki wielkiej sile ducha jej mieszkańców i jej obrońcy gen. W. Dobbie.

W roku ubiegłym sytuacja wyspy była niezwykle krytyczna. Została ona niemal zupełnie odcięta od wszelkiego dowozu z zewnątrz. Luftwaffe posiadała absolutną przewagę na wszystkich szlakach morza Śródziemnego. Żaden konwój nie mógł bezpiecznie i w całości dotrzeć do wyspy.

Cel nieprzyjaciela był wyraźny. Postanowił on wygłodzić wyspę, bombardując nie tylko każdy statek, stojący w porcie, ale niszcząc każdy parowiec, któryby usiłował dotrzeć do maltańskich portów.

Na Malte zrzucono ogółem 14,000 ton bomb.

Straty pośród ludności wynosiły 1,4% ogółu mieszkańców. Będą to prawdopodobnie największe straty spośród wszystkich teatrów wojny. Naloty lotnicze były częste i długotrwałe. Jednego dnia w lutym było ich aż siedemnaście. Najdłuższy alarm imiego dnia trwał 13 i pół godzin. Najcięższym jednak miesiącem był marzec. Alarmy trwały w tym miesiącu 372 godziny, czyli 15 dni i nocy łącznie.

W lutym, marcu i kwietniu ataki lotnictwa niemieckiego były przeprowadzane z największą furją. Wtedy to właśnie Rommel przygotowywał się do zadania śmiertelnego ciosu 8-mej Armii i zdobycia Aleksandrii. Wydał on rozkaz, że Malta, tkwiąca jak cień na tyłach jego linii komunikacyjnych, musi być za wszelką cenę unieszkodliwiona.

Ataki powietrzne następowały jeden za drugim i lotnicy niemieccy nie robili żadnej różnicy między celami wojskowymi i niewojskowymi. Zniszczonych zostało wtedy wiele domów mieszkalnych i kościołów. W kwietniu zburzone były też dwa wielkie szpitale, mimo, że posiadały dobrze widoczne znaki Czerwonego Krzyża.

Wiele odwagi i zimnej krwi wykazali Maltańczycy. Bierna obrona przeciwlotnicza, obrona przeciwpożarowa i policja pracowały niezmordowanie dzień i noc. Kobiety-pielęgniarki i pracownice społeczne niosły pomoc wszędzie, nie bacząc na własne bezpieczeństwo.

W miarę jednak, jak upływały tygodnie za tygodniami, mieszkańcy wyspy zaczęli zdradzać rodzaj znudzenia i jakby zobojętnienia w stosunku do wszystkiego, co się wkoło nich działo. Objaw to zupełnie zrozumiały po tak długim okresie wyczerpania nerwowego i fizycznego. Dotychczasowy nastrój podniecenia zaczął się pomalą przelistać w nudę, dokuczającą wszystkim. Maltańczycy to z pochodzenia Włosi, naród żywy i wesoły, przyzwyczajony do spędzania niemal całego dnia na ulicach miast i wiosek. Było to wykluczone w czasie nalotów lotniczych. W rzadkich chwilach spokoju nawet zakupów nie można było robić. Wszyscy dobrze zarabiali, ale sklepy były puste.

Dowóz był coraz skromniejszy i, rzecz prosta, obcinanie racji żywnościowych nie mogło przyczynić się do wzmocnienia nastroju. Nie było, naturalnie, paniki czy defetyzmu, lecz po prostu jakby powiew zrezygnowanej na wszystko apatii. Musiano przeto przedsięwziąć szereg kroków, aby nastrój ten nie utrwalił się na stałe.

Poza żądaniem od ludności i wojska dokładnego wykonywania obowiązków, wymaganych przez sytuację, położono duży nacisk na zorganizowanie gier i zabaw sportowych oraz wszelkiego rodzaju rozrywek. Urządzano stale mecze bokserskie. Udostępniono wybrzeże dla kąpieli morskich. Urządzono szereg meczów piłki nożnej, kriketa i hokeja.

W dzień Św. Jerzego, 23 kwietnia, ogłoszono całodzienne święto i artylerzyści brytyjscy rozegrali zawody tenisowe. Luftwaffe przybyła także, ale szczęśliwie nastąpiło to w czasie przerwy. W centrum miasta zniszczony został dnia tego główny budynek sądowy.

Różnymi sposobami starano się ożywić życie towarzyskie. Wszystkie kluby otworzyły dla wojskowych swoje podwoje. Teatry i kina pracowały bez przerwy, aż dopóki nie zniszczyły ich niemieckie bomby.

Czarodzieje z wojsk łączności założyli głośniki radiowe we wszystkich schronach, wykutych w skałach. Z centralnej rozgłośni, ukrytej głęboko pod ziemię, nadawano nie tylko najnowsze wiadomości z Londynu i całego świata, lecz nawet oryginalny maltański program rozrywkowy.

Wszystko to działo się w najtrudniejszym okresie oblężenia wyspy. Żywność i amunicja zaczęły się wyczerpywać. Obrona wyspy stawała się coraz trudniejsza z powodu braku myśliwców. Stolica wyspy, Valetta, i główny port były codziennie uporczywie bombardowane.

Najgroźniej przedstawiała się sprawa wyżywienia. Cukru, kawy, mąki i marmolady pozostały już w magazynach resztki. Rolnictwo Malty może wyżywić zaledwie część ludności a Maltańczycy już przez dłuższy czas odżywiali się niedosta-

tecznie. Oliwa była nieosiągalnym marzeniem, a racje chleba ograniczono do 10 uncji dziennie. Robotnicy portowi byli tak wyczerpani, że gdy w końcu przyszło kilka statków z żywnością, z trudem zdołali je wyładować.

14 kwietnia niezwykła nowina wstrząsnęła mieszkańcami Malty. Ogłoszono, że król Jerzy VI nadał wyspie Krzyż Jerzego w uznaniu zasług i siły ducha jej mieszkańców. Wieść o tym przyszła w sam czas i podtrzymała siły Maltańczyków.

Krzyż Jerzego przywiózł na Maltę nowy jej gubernator i dowódca wojskowy, lord Gort. Na wielkim placu publicznym, otoczonym zrujnowanymi budynkami, nastąpiła uroczystość wręczenia Krzyża. Przyjął go pod opiekę w imieniu ludności, najwyższy sędzia, sir G. Borg.

Po przybyciu lorda Gorta opuścił wyspę jej dotychczasowy obrońca, generał W. Dobbie, który w ciągu dwóch ostatnich lat był dla mieszkańców Malty źródłem siły i otuchy. W sercach ludności maltańskiej pozostawił on po sobie niezatarte wspomnienia wdzięczności i szczerego uczucia.

W numerze następnym drukujemy artykuł tegoż autora o lotniskowcu Illustrious, jako dalszej części przebiegu walk o Maltę.



Nie obawiaj się
go, Brytaniol!
On tylko pragnie
Cię obronić...
/Liliput/.

Daję rozkaz Moczulskiemu, aby zatoczył łuk przez las i wyszedł na jego skraj przed wsią. Sam mam zamiar posunąć się z drugim plutonem /placówką/ i c.k.m. po cięciwie tego łuku t. j. prosto skrajem lasu również aż do wsi.

Moczulski zakłada bagnety, rozwija pluton, dwie drużyny w pierwszym rzucie, trzecia drużyna z podchorążym B. z tyłu. Ruszają ochoczo. Idę na lewym skrzydle i zatrzymuję się przy placówce, polecając skierować c.k.m. na pole wzdłuż lasu, t. j. w kierunku wyjścia z lasu do wsi.

Po chwili wybuchu ożywiona strzelanina i wiem, że Moczulski wlaźł na Niemców. Strzelanina oddała się, więc zabieram c.k.m. wraz z jedną drużyną i skrajem lasu, sunę równolegle z nią. Wieś, a raczej kolonie, są coraz bliżej. W pewnym momencie strzelanina zaczyna zbliżać się ku nam. Rozumiem, że Niemcy wycofują się z lasu ku wsi. Zatrzymujemy się, ustawiam ckm. z kierunkiem na przedpole wsi i po chwili kiedy widzę wybiegającego z lasu wroga, otwieram ogień. Szkopy znikają wśród zagród, które zdala wyglądają /jest do nich ode mnie około 1/2 kilometra/ puste.

Łapiemy ckm. i biegiem posuwamy się jeszcze 80-100 metrów po czym kieruję go na wieś.

Widzę, że Moczulski już wysuwa się z lasu. Chce atakować wieś. Wprawdzie takiego rozkazu nie miał, ale ten człowiek, a przy nim cały pluton, mieli takiego ducha i taką fantazję, że mnie to nie dziwi. Wydaję więc rozkaz do otwarcia jaknajintensywniejszego ognia na wieś.

Moczulski z plutonem już pędzą.

Swoją drogą, jaką Niemcy mieli łączność, ilustruje fakt, że już w tym momencie przedpole wsi i skraj lasu zostaje zasypane pociskami artylerii. Moczulski już we wsi. Biegnę i ja naprzekaj, pozostawiając c.k.m. na stanowisku.

Kiedy docieram do wsi, ogień artylerii, skrócony już, przenosi się na nią i robi się tu ist-

ne piekło. Orientuję się, że z jednym plutonem we wsi /ciągnącej się gdzieś bardzo daleko/ w tych warunkach utrzymać się nie sposób i spieszę aby dać rozkaz wycofania się do lasu.

Spóźniam się o tyle, że na spotkanie dwaj żołnierze wyprowadzają mi Moczulskiego z twarzą zalaną krwią i z dziurą w czaszce nad skronią wielkości jajka. Mózg otwarty, ale idzie sam zupełnie przytomny i rozwalony hełm niesie w rękę.

Każę go prowadzić prędko pod drzewa, a podchorążemu wydaję rozkaz podpalenia znajdujących się tu samochodów i wycofywania się również do lasu. Po chwili dokładnie przez żołnierzy splondrowane trzy samochody płoną, a obciążone zdobyczą wojsko ucieka do lasu.

W chwili, kiedy myślę, że już wszystko wycofało się, nadbiega z głębi wsi grupka żołnierzy, prowadząc kłusem trzy osiodłane kawaleryjskie czy też artyleryjskie konie. Dalej też coś się pali, powiadają, że również samochód. Biegniemy do lasu. W tym czasie jeden koń rzuca się, staje dęba i rży. Pewno ranny. Ale po chwili przynaglany rusza dalej.

Wpadamy do lasu, gdzie już reszta plutonu przywarowała za różnymi prowizorycznymi ukryciami.

Wyznaczam stanowiska, podciągam c.k.m. i daję podchorążemu rozkaz trzymania tej pozycji aż do odwołania. Ponieważ jednak od prawego jego skrzydła niedaleko już jest do szosy, której północne wyjście wraz ze wsią Niemcy trzymają i trzeba się od tej strony ubezpieczyć, a ludzi jest mało więc mu komunikuję, że zaraz pluton wzmocnię.

Wracam przez las do "siebie". Ogień artylerii cokolwiek osłabł, ale zato maca po całym lesie. Po drodze znajduję zabitych i kilku rannych.

Na oko oceniam straty trzeciego plutonu na jakieś 25%. Doganiam Moczulskiego, który siada odpocząć obok żołnierza, prowadzącego dwóch jeńców. Proponuję mu, aby zaczekał, to przysię

sanitariuszy, ale odpowiada, że dojdzie sam i że właściwie dobrze się czuje. /Mówił mi potem nasz doktor, że o ile niema wygniecenia to taka rana nie jest tak niebezpieczna jak by się wydawało, o ile ranny niezwłocznie otrzyma pomoc lekarską./ Prosi tylko pić, ale niestety nasze wojsko od rana nie ma ani kropli wody, a w całym lesie niema ani jednego źródła.

Kiedy dochodzimy do pułkownika, proponuję Moczulskiemu aby sam zameldował o wykonaniu rozkazu. Trzymam go pod rękę. Pułkownik w pierwszej chwili zdziwiony rzuca się.

- Co to jest? Co się stało?

Moczulski równym głosem melduje:

- Panie pułkowniku, rozkaz wykonałem, nieprzyjaciela z lasu usunąłem!

Ja dodaję, że wyrzucił go również ze skraju wsi, spalił samochody transportowe i obecnie podchorąży z jego plutonem siedzi na skraju lasu przed wsią. Na to stary wstaje, salutuje i mówi:

- W imieniu służby dziękuję, panie poruczniku

A zwracając się do adiutanta -

- Wniosek o odznaczenie!

Moczulski słabnie i odciągamy go przy pomocy kapitana pod sąsiednie drzewa, gdzie go zaraz opatrują. Opatrunek ogranicza się do prowizorycznego obandażowania, ale przydzielam nosiciela i wydaję rozkazy, aby natychmiast wszystkich rannych odnoszono kolejno do szosy w okolicy naszego rozbitego taboru, gdzie jak zameldowali sanitariusze po drugiej stronie szosy stoją wozy i jest lekarz.

Wprawdzie trochę za daleko, ale każę starszemu sanitariuszowi odtransportować rannych przynajmniej do drogi bocznej, a potem ściągnąć tam wozy i lekarza. Dodaję dla wzmocnienia, że to ma być "z rozkazu dowódcy pułku".

Pułkownikowi melduję o sytuacji, w jakiej się znajduje trzeci pluton i dodaję, że trzeba go wzmocnić przez przesunięcie w jego pobliże drugiego plutonu. Pułkownik jest innego zdania, bo szosę na obu jej wylotach z lasu trzyma I ba-

talion. Więc, ażeby lukami nie przedostawały się do lasu nieprzyjacielskie patrole, trzeci pluton musi z nim nawiązać łączność.

Tak też zostaje. Podsuwam jednak trochę bliżej do trzeciego plutonu stanowiska drugiego /placówki/ t.j. rozszerzam swoje stanowiska, odsuwając je od środka. Rannych zabierają. Sanitariusz melduje mi, że ppor. Moczulski wzywa mnie. Ten osłabiony mówi:

- Kolego, moja żona została w Wilnie i w tych dniach spodziewała się dziecka, którego ja może nie zobaczę. Więc w razie czego, pamiętajcie!

Po za tym daje mi swój portfel, w którym znajduje się trochę pieniędzy, legitymacja i fotografia żony, prosząc abym to oddał potem doktorowi. Tu się żegnamy i sanitariusze ga zabierają. Więcej go nie widziałem.

&

&

&

Zbliża się wieczór. Znęczenia nie czuję, ale pić mi się chce okropnie. Artyleria nasza nie odezwała się ani razu. Natomiast strzały w lewo od pozycji pierwszego plutonu, porucznika Marca t.j. tam, gdzie rano bronił się podporucznik Sawicki, niepokojąco zbliżają się. Na odcinku trzeciego plutonu - cisza. Dowódca pułku przeniósł się więcej na południe t.j. z powrotem w rejon reszty drugiego batalionu.

Zadaję sobie ciągle pytanie, dlaczego nie może my doczekać się natarcia ze strony naszego sąsiada od północy i dlaczego nasza artyleria nie strzelała.

Niemcy jak widać chcą nas stąd koniecznie wykurzyć, tylko, że tu z czołgami wjechać nie mogą.

Spiesznym krokiem wraca pułkownik, za nim dowódca I batalionu. Dalej widzę jakieś maszerujące oddziały. Pułkownik już zdaleka woła:

- Poruczniku, zmieniamy front. Ściągaj pan wszystkie oddziały, za drogę frontem w lewo, tak - i pokazuje rękami, że mamy zająć stanowis-

ka frontem do odcinka pierwszego plutonu.

- Czy trzeci pluton też ściągnąć?

- Też, wszystko a prędko!

Wysyłam łączników do plutonu trzeciego, drugiego i do plutonu przydzielonego. Pluton pierwszy z porucznikiem Marcem, jako najbliższej leżący i stanowiący jakby zabezpieczenie całego naszego przegrupowywania się, postanawiam sam ściągnąć na końcu.

Nadciągające prawie równocześnie plutony, przydzielony i drugi, skierowuję za drogę. Ale, ku mojemu najgłębszemu oburzeniu, wynurza się z lasu schodzący przedwcześnie ze stanowiska pluton porucznika Marca.

Rzucam się wściekły.

- Kto panu pozwolił się wycofać? - Ale ten zdziwiony odpowiada, że przybiegł łącznik, zawołał, że jest rozkaz aby się wycofać za drogę, więc nie miał podstawy nie wierzyć. Nie czas teraz na dyskusje; orientuję się, że zajmowanie z powrotem opuszczonego stanowiska już niema sensu, bo mogą go nie zdążyć zająć, więc pcham ich, również za drogę.

Dalsze wypadki następują tak szybko po sobie, że naprawdę nie wiem jak odtworzyć ich kolejność.

Kieruję się w stronę naszego nowego stanowiska, rozglądając się po przedpolu czy czego nie zostawiliśmy. Pomieszane oddziały pułku jeszcze pozycji za drogą nie zajęły. W tym momencie za mną, t.j. naprzeciwko naszej pozycji, wypada z lasu wycofujący się biegiem oddział ppor. Sawickiego. Widzę, że już naprawdę niema czasu do stracenia, więc pędem zdam za drogę i nie szukając długo, każę żołnierzom kłaść się za wałem ziemnym na skraju lasu. Ale plutony moje są pomieszane z innymi. Nie bawię się w sortowanie i jak i inni oficerowie, zapędzam najbliższej mnie znajdujących się ludzi do linii. Słowem groch z kapustą i kompletny chaos. Na szczęście pozycja wypadkowo dobra, bo las rośnie cokolwiek wyżej od drogi, tak, że w niektórych miejscach korzenie drzew zwisają nad drogą i posiada na skraju lekkie wzniesienie.

.d.c.n.

Ucieczka gen. Giraud.

Na temat sensacyjnej ucieczki gen. Giraud z fortecy w Koenigstein pojawiło się już wiele artykułów. W Nr. 1 "Co Słysać" zamieściliśmy streszczenie artykułu Michaela BERNIN. Obecnie jednak podajemy historię ucieczki gen. Giraud, opowiedzianą przez niego samego w Algierze francuskiemu dziennikarzowi P. BRINGUIER i zamieszczoną na łamach "Collier's Magazine".

Gen. Giraud objął dowództwo nad przydzieloną mu armią w czasie, gdy wojska francuskie po przegranej bitwie w Belgii, znajdowały się w pełnym odwrócie, naciskane zewsząd przez niemieckie dywizje pancerne oraz lotnictwo. Kwatery główna jego armii znalazła się wkrótce w pierwszej linii z powodu szybkiego wycofania się czołowych dywizji. Przy pomocy naprędce zebranych oddziałów, gen. Giraud kontratakował, prowadząc oddziały osobiście. Wszystko jednak na próżno. Otoczony przez przeważające niemieckie siły, po 26 latach od swej pierwszej ucieczki, został on ponownie niemieckim jeńcem i dostał się wraz z innymi wyższymi oficerami do zamku w Koenigstein. Znajdowało się już tam 120 generałów i admirałów francuskich. Od pierwszego dnia pobytu w więzieniu, gen. Giraud zaczął już obmyślać plan ucieczki.

Koenigstein jest starą fortecą, znajdującą się na stromej skale wysokości około 120 stóp i otoczoną wysokimi murami. Skała zaś wznosi się na wzgórzu, panującym nad doliną rzeki Elby. W ciągu pierwszych dni więzienia udało się generałowi przesłać szyfr do swej żony za pośrednictwem jeńca francuskiego, zwolnionego z niewoli z powodu złego stanu zdrowia. Dzięki temu mógł on swobodnie z nią korespondować. Potem zdobył rozkład jazdy pociągów i nauczył się go na pamięć. Jednocześnie zaś stale uczył się języka niemieckiego, który poznał już w czasie pobytu w niewoli podczas pierwszej wojny światowej.

W kilka miesięcy później, w październiku 1941 r., żona gen. Giraud nawiązała kontakt z dwoma oficerami francuskimi, którzy w nieokupowanej Francji utworzyli organizację, mającą na celu udzielanie pomocy jeńcom francuskim, uciekającym z niewoli. Byli to pułkownik G. i major L. Opracowali oni wkrótce plan ucieczki gen. Giraud.

W ciągu trzech miesięcy generał plótł ze sznurków, którymi obwiązane były, przysyłane przez jego żonę paczki żywnościowe, linę potrzebną do ucieczki. Przekonał on się jednak wkrótce, że lina ta jest za słaba. Zażądał więc z Francji krążka drutu miedzianego, długości 150 stóp, który przysłano mu, ukryty zręcznie w specjalnie spreparowanej szynce. Tym drutem znakomicie wzmocnił on swoją linę.

W lutym 1942 roku płk. G. i major L. przysłali gen. Giraud wskazówki co do planu ucieczki. Pewien młody Alzatzczyk, znający doskonale język i kraj miał przywieść możliwie najbliższej Koenigstein ubranie cywilne i niemiecki paszport. W czasie spacerów więziennych generał wypatrzył sobie w murach fortecznych pewne odosobnione miejsce, niewidoczne od strony posterunków ochronnych. Z miejsca tego musiał spuścić się 150 stóp w dół po grubej, prostopadłej ścianie. Okno celi gen. Giraud wychodziło na drogę, po której co 15 minut przechodził patrol. Giraud miał wobec tego tylko kwadrans czasu, aby zdążyć wydostać się z fortecy.

Przyjaciele jego we Francji przypuszczali, że generał spróbuje ucieczki w nocy. Ku ich niemałemu zdziwieniu dał im znać, że opuści Koenigstein 17 kwietnia o 10 rano. Trzeba się było z tą decyzją pogodzić. 27 marca nadeszła odpowiedź z Francji, że przewodnik będzie czekał tegoż dnia o godz. 1 po południu na moście kolejowym w Schandau, w odległości 5 mil od Koenigstein.

Było niemożliwym w biały dzień maszerować z Koenigstein do Schandau w mundurze francuskim.

Generał posiadał jednak płaszcz nieprzemakalny, mogący uchodzić za cywilny oraz parę cywilnych spodni, a w następnej szynce otrzymał z Francji komiczny kapelusik tyrolski.

17 kwietnia Giraud był gotów do ucieczki. Ze skrytki, znajdującej się w podłodze pod łóżkiem wyjął linę i rękawiczki. Z ubrania zrobił mały pakunek, do którego włożył brzytwę, szkic okolicy i trochę jedzenia. Na chwilę przed godziną lo-tą przeszedł przez okno, spuścił się na dół i pospieszył do upatrzonego miejsca przy murze fortecznym. Niezgrabnie przełożył swe długie nogi przez parapet ściany i spuścił się po linie w dół. Na dole przebiegł kilka metrów i ukrył się w pobliskich krzakach. Tam wydobył z pakunka brzytwę, zgolił wąsy, włożył płaszcz i kapelusik tyrolski. Wyszedłszy na pobliską drogę, zorientował się w kierunku i spokojnie podążył w stronę stacji kolejowej w Schandau.

Przyszedł na miejsce o godz. 12.30, wobec czego usiadł przy moście i zjadł przyniesione ze sobą śniadanie. Punktualnie o godz. 1-szej zjawił się młody człowiek z walizką w ręku. Przyjrzał się gen. Giraud, podszedł bliżej i powiedział: "Dzień dobry, Henryku." - "Dzień dobry, Franciszku." - odpowiedział Giraud. Młody człowiek wyprostował się: "Generale, jestem na twoje rozkazy."

Ubrany ciągle w to samo ubranie, w którym uciekł, gen. Giraud udał się ze swym przewodnikiem na stację i wsiadł do pociągu. Zajęli przedział II klasy, który poprzez umywalnię łączył się z przedziałem pierwszej. Giraud wszedł do umywalni z walizką towarzysza, zamknął się tam i po kilku chwilach zjawiał się w przedziale I klasy ubrany jak zamożny handlowiec ze złotymi okularami na nosie. W kieszeni miał paszport na nazwisko jakiegoś niemieckiego kupca.

Pociąg toczył się przez równinę niemiecką; zapadł zmrok. W Koenigstein musiano już odkryć ucieczkę Giraud. Opis i wygląd zbiega ogłoszono przez radio, czujność na granicy wzmożono, przy czym wyznaczono 100,000 marek na-

grody za ujęcie zbiega.

Niemcy przypuszczali, że Giraud będzie próbował przekroczyć granicę szwajcarską. Tymczasem pojechał on w kierunku Berlina. Każdy policjant wypatrywał Giraud. Plakaty, zawierające jego opis, fotografię i wyznaczoną nagrodę, rozlepione były wszędzie. Mimo to Giraud podróżował po Niemczech przez 7 dni, nie opuszczając pociągu, względnie stacji kolejowych, śpiąc w wagonach lub w poczekalniach. Czwartego dnia podróży Giraud znajdował się w pobliżu granicy czecho-słowackiej. Siedział w kącie przedziału, czytając gazetę. Nagle usłyszał na korytarzu jakiś ruch. To Gestapo sprawdzało papiery podróżnych.

Naprzeciw generała siedział młody oficer niemiecki w mundurze afrykańskiego korpusu, obwieszony bojowymi orderami. Generał przyjrzał mu się badawczo i powiedział: "Widzę, że pan należy do sławnego korpusu afrykańskiego. Znam dobrze Afrykę, gdyż musiałem tam często jeździć w sprawach mojej firmy." Następnie Giraud zaczął pod niebiosa wychwalać taktykę i strategię Rommela w Afryce. Młody podporucznik był zachwycony i wywiązała się gorąca dyskusja. Po lo minutach byli już przyjaciółmi.

"Niewątpliwie" - powiedział Giraud - "nastąpi wkrótce decydujące uderzenie w kierunku Egiptu. Mam nadzieję, panie poruczniku, że wróci pan na czas z urlopu i zdąży jeszcze wejść do Aleksandrii u boku marszałka Rommela".

Agenci Gestapo weszli do przedziału. Giraud podniósł głowę, jakgdyby niezadowolony, że mu przerwano rozmowę. Oficer również niezadowolony, dał im znak ręką, aby wyszli. Agenci zawahali się chwilę, przyjrżeli się orderom oficera, zasalutowali i odeszli.

Wreszcie, przy sprzyjającym szczęściu, Giraud przejechał granicę w Alzacji i znalazł się w okupowanej Francji w Chalon-sur-Saone.

Kilku kompatriotów, oczekujących zawczasu, miało pomóc generałowi Giraud w przedostaniu

się do strefy nieokupowanej. Lecz generał otrzymał informację, że na granicy Niemcy aresztują wszystkich mężczyzn powyżej 6 stóp wysokości.

Wobec tego zawrócił najspokojniej do Niemiec, przejechał przez Szwajcarię i przy pomocy fałszywej wizy, dostarczonej mu przez przyjaciół, wjechał bezpośrednio do Francji nieokupowanej.

Ucieczka gen. Giraud narobiła wrzawy w całym świecie. Niemcy zgrzytali zębami z wściekłości. Laval był wówczas już premierem w Vichy. Giraud wezwany został przez Petain'a.

"Bardzo się cieszę, że pana widzę, generale!" powitał go Petain, "lecz chciałbym, aby pan porozmawiał z Lavalem". W tym momencie do gabinetu wszedł Laval. "To co pan uczynił, generale, jest nie do wybaczenia" - powiedział Laval. "Jeżeli się pan zgodzi na spotkanie z ambasadorem niemieckim, Otto Abetzem, może da się tę sprawę jakoś załagodzić". Gen. Giraud

zagwarantowano wolny powrót do strefy nieokupowanej. Wyjechał z Vichy samochodem w towarzystwie Laval'a i Darlana. Po przebyciu granicy demarkacyjnej, przyjechano do Moulins, gdzie w małym pokoiku w merostwie odbyło się spotkanie.

Giraud siedział pomiędzy Lavalem a Darlanem. Naprzeciw nich Otto Abetz.



Gen. Giraud.

"Pańska ucieczka jest skandaliczną i pożałowania godną sprawą". - powiedział Abetz, - "W interesie francusko-niemieckiej współpracy będzie pan musiał wrócić do Koenigstein. Jeżeli się pan na to zgodzi, zwolnimy 50,000 jeńców francuskich, a może nawet więcej."

"Jaką gwarancję pan mi da, że obietnica ta będzie dotrzymana?" - zapytał Giraud.

"Niemieckie słowo honoru".

"Przykro mi, ale nie mam zaufania do niemieckiego słowa honoru" - odpowiedział Giraud.

W samochodzie, w czasie powrotu do Vichy,

Darlan i Laval zachowywali krępujące milczenie. W końcu Giraud powiedział spokojnie: "To zwy-
czajny gbur, ten Niemiec. Muszę go sobie zapamiętać."

Giraud pojechał do Lionu, a następnie udał się w okolice Marsylii. Co noc w jego domu odbywały się długie narady.

W październiku wielka armada okrętów alianckich wyruszyła z Ameryki, Irlandii i Anglii. W północnej Afryce również wszystko było przygotowane.

W listopadzie było wiadomym, że flota ta po przejściu przez Gibraltar wpłynęła na morze Śródziemne.

4 listopada gen. Giraud wyjechał z Marsylii wraz z kilku swymi współpracownikami i najmłodszym synem, Bernardem. W nocy przybył do małej miejscowości na francuskiej Rivierze, zwanej Lavardon. W pobliżu miała czekać na generała łódź podwodna. Pogoda była okropna. Padał deszcz i dął silny wiatr. Noc spędzono w pustym domu.

Następnego dnia o północy gen. Giraud wsiadł ze swą grupą do kutra rybackiego i w ciemności wyruszone na pełne morze. W odległości mniej więcej mili od brzegu nadano umówione sygnały świetlne. Wkrótce wielkie, ciemne cielsko wyłoniło się z morza. Była to brytyjska łódź podwodna pod dowództwem amerykańskiego oficera. Z wyjątkiem rybaka, prowadzącego kuter, wszyscy pasażerowie przeszli na łódź. Generał Giraud uściśnął przewoźnikowi rękę i powiedział: "Do prędkiego zobaczenia". Gdy łódź podwodna się zanurzała, gen. Giraud wyszeptał: "Do widzenia, Francjo! Wkrótce będę z powrotem..."
